Czasami po prostu mi się nie chce.

Ciężko jest przyznać, nawet przed samą sobą, że coś jest nie w porządku. Jestem mistrzynią udawania, że jest w porządku. Zakładania maski codzienności, wychodzenia do ludzi, bycia osobą towarzyską. I zawsze, kiedy powiem na głos, że od marca zeszłego roku nie czuję się ok, znajdzie się ktoś, kto powie: przecież nie jesteś pielęgniarką lub lekarzem. Ci to dopiero mają ciężko. Nie masz prawa narzekać.

A właśnie, że mam. Każdy z nas ma. Nie dajmy sobie wmówić, że musimy czuć się dobrze tylko dlatego, że ktoś ma gorzej.

Myślałam, że z pandemii wyszłam zwycięsko.

Że mnie to nie dotknęło, bo przecież mam pracę na etacie, rozwijam bloga, zoskałam nową niezależność i elastyczność. Nie muszę wstawać przed świtem, ciągle pędzić, rano do biura, po pracy do szkoły po dziecko, potem do domu robic obiad, kolację, non stop zasuwać. Zwolniłam, wyluzowałam. Piekłam chleb, cieszyłam się domem, ogródkiem, obecnością mojego dziecka i męża. A jednak kropla za kroplą, z dnia na dzień ten kielich coraz bardziej sie napełniał, skała coraz bardziej się drążyła. Aż pękła.

Mój blog odżył, nagle miałam więcej energii, motywacji, wszystkiego miałam więcej. Zaczęłam łapać dziesięć srok za jeden ogon. Zaczęła mi się lać fontanna pieniędzy, kolejne współprace, kolejne pomysły. Czułam, że żyję. Moje życie było w miarę uporządkowane, znów zyskało swój rytm, znów wszystko miało swoje miejsce.

I nagle jeb.

Wszystko się posypało jak domek z kart.

Nie wiem co mi jest, nie umiem tego zwalczyć. Ale chcę, żebyście wiedzieli, dlaczego czasami jest mnie mniej. I po cichu myślę sobie, że może wśród was są osoby, które czują podobnie. I chciałabym, żeby te osoby wiedziały, że to jest zupełnie normalne. Że w tym niedobrym miejscu jest nas więcej.

Motywacja?

Przychodzi falami, a potem równie szybko odlatuje. W myślach i marzeniach osiągam szczyty moich możliwości, a potem dzień za dniem mijają godziny i tygodnie, terminy przelatują, a ja stoję w miejscu. Wszystko odkładam na później, na jutro, na

ostatnią chwilę. A jutro nigdy nie nadchodzi.

Prokrastynacja to moje drugie imię. Całe życie tak robiłam i nienawidziłam tego w sobie. Nauka do egzaminów dzień przed, prace oddawane na ostatni dzień, magisterka obroniona rok po skończeniu studiów.

Obok mnie leży książka, którą chcę przeczytać, a ja zamiast tego scrolluję media społecznościowe, w których ciągle jest to samo. Wpisy blogerów parentingowych, jakieś portale macierzyńskie, pudelek, wp, onet. Statystyki koronawirusa. Leżę i tępo się w nie wpatruję, zamiast robić w życiu kolejne kroki do przodu. Zamiast założyć firmę, zebrać się w sobie, wykrzesać z siebie ten potencjał, na który mnie stać. Do cholery, wiem, że mnie na to stać.

To nie jest tak, że nie planuję.

Wręcz przeciwnie. Codziennie zasypiam z myślą, że jutro będzie inaczej. Codziennie budzę się z myślą, że to właśnie dziś jest ten dzień, kiedy zrobię wszystko to, co sobie założyłam. A ten dzień nie nadchodzi. Dopada mnie rutyna i robię tylko to, co niezbędne. Wyprawiam dziecko do szkoły, od 9:00 do 17:00 siadam do komputera, żeby pracować. Robię jedzenie, żeby przeżyć.

Tyle matek, moich czytelniczek dziękuje mi za to, że pokazuję prawdziwe macierzyństwo. Ale już czas powiedzieć nie tylko o byciu matką, lecz również o byciu człowiekiem. O tych ciężkich chwilach, które zdarzają się większości z nas.

Mój mąż jest świętym człowiekiem.

Jego cierpliwość do mnie, wyrozumiałość do moich słabszych chwil zaskakuje czasami mnie samą. Gdyby nie on, to wiele razy nie dźwignęłabym się w górę. Gdyby nie on, ten blog już by nie istniał. Co ja mówię. Gdyby nie on, ten blog w ogóle by nie

powstał.

Jestem zmęczona.

Mam lepsze i gorsze dni. Czasem trzymam to wszystko w kupie, czasem się rozwalam na milion kawałków. Czasem duszę to wszystko w sobie, czasem wylewam całym potokiem. Walczę z demonami przeszłości i sprawami, które wracają do mnie w najmniej spodziewanych momentach. Czasami docieram do naprawdę ciemnych miejsc, z których chcę jak najszybciej uciec. Nadprzyrodzonym wysiłkiem jest dla mnie czasem zwykłe wyjście z domu po kilku dniach nie ruszania się nigdzie.

To brzmi miejscami strasznie, ale tak naprawdę na co dzień pcham to wszystko do przodu. Dzień za dniem, czasem bezmyślnie, bez większej refleksji, bo tak jest łatwiej. Czasem szukam rozwiązań, odskoczni – to pomaga. Rozmowa z koleżanką, z przyjaciółką. Kilka odcinków serialu, dobra książka (jeśli schowam do szuflady smartfona) czy nawet zwykłe wyjście do biura.

I właśnie rozmawiając z bardzo bliską mi osobą zorientowałam się, że ona jest w tym samym miejscu, co ja. Objaw za objawem, porównałyśmy wszystko. I jestem pewna, że nie jesteśmy same. Jeśli czytasz to i odnajdujesz się w tym, to wiedz, że to jest normalne. Mamy cholernie ciężkie czasy. Czasy nieodwracalnych zmian i burz, po których już nic nigdy nie będzie takie samo jak wcześniej. Jeśli to czujesz, to wiedz, że całym sercem jestem z Tobą.

Udostępnij ten wpis, żeby Twoi znajomi, którzy też być może nie mówią o tym głośno, przekonali się, że nie są sami. Ja nie jestem. I Ty też nie jesteś.